

XI

Po tym frazeologicznym wstępie, Wałęsa przystąpił do "programowego" przemówienia (nie bardzo wiadomo przez kogo napisanego). Mówił w pierwszej osobie, używając dla przykładu takich słów jak "wygłosiłem", "mówiłem", "powtarzałem", "przywołałem", "zdaję sobie sprawę" itp., itd.

W czym więc imieniu przemawiał Wałęsa? "Solidarności", Komitetu Obywatelskiego czy może swoim własnym? Dlaczego też zaświadczał, że ludzie władzy są "świadomi" istniejących w kraju trudności i że "dali dowód gotowości do radykalnej zmiany systemu", że "okrągłostołowe" rozmowy są tego przykładem i że monopol władzy jest przełamany?

Prawda, mówił też o konieczności legalizacji "Solidarności", ale dlaczego zgodził się zasiąść do "okrągłego stołu" bez dopięcia tego celu, już nie wspomniał. Wspomniał za to o następnych wyborach jako już w pełni wolnych, dodając jednakże jednym tchem, że identycznego zdania jest strona "koalicyjno-rządowa"! Wspomniał również, że powinna nastąpić "likwidacja nomenklatury", ale zaraz wyjaśnił, że nie znaczy to "pozbawiania kogoś posady".

Jak więc miała przebiegać taka "likwidacja"? Następnie znów sypnął frazesami w rodzaju "wolność idzie z chlebem" i wreszcie przeszedł do konkretów (przynajmniej w jego pojęciu).

Wałęsa więc powiedział (niezgodnie zresztą z historyczną prawdą), że "od swoich narodzin "Solidarność" opowiadała się za zasadniczą przebudową gospodarki. Za rynkiem, samodzielnością przedsiębiorstw, samorządnością pracowniczą, równouprawnieniem różnych

form własności”.

Czy wiedział o czym mówił? Z pewnością nie, jak to wkrótce - wybiegając do przodu - pokazały doświadczenia z “planem Balcerowicza”, obracające w niwecz te przechwałki.

Dalej Wałęsa mówił o konieczności zmniejszenia wydatków na “administrację państwową, zbrojenia i aparat represji”, unikając jakichkolwiek konkretnych cyfr. Pochwalił się też, że “wywalczyliśmy indeksację, to znaczy system automatycznego wyrównywania płac do wzrostu cen”. Co zaś z tego wywalczenia wyszło, kiedy ruszył “plan Balcerowicza” ze słynnym “popiwkiem” - wiadomo.

Wałęsa, podobnie jak Kiszczak, o żadnym demontażu PRL i budowie III RP nie wspominał słowem. Można by, co prawda, jego słowa o “początku drogi do wolnej i demokratycznej Polski” uznać za coś takiego, ale są to tylko domysły.

O wieloznacznej roli Wałęsy w Operacji “Okragły Stół” ciągle nie znamy całej prawdy. Stąd choćby jej strzępy, jak wypowiedź Alojzego Pietrzyka, lidera śląskiej “Solidarności” i “okragłego stołu”, są godne zacytowania:²⁷

“... Nastąpiły ustępstwa - pisane i niepisane... (...) Ja nigdy tych układów nie zaakceptowałem. Miało to swoje reperkusje podczas posiedzenia tajnej Komisji Wykonawczej Solidarności w podziemiach kościoła przy ul. Czarnieckiego w Warszawie, gdzie mieliśmy rozstrzygnąć, kto będzie prezydentem. Przewijały się dwa nazwiska: Kiszczaka i Jaruzelskiego. W końcu Janusz Pałubicki poddał pod głosowanie kandydaturę Jaruzelskiego, jako tego niby lepszego od bardzo złego Kiszczaka. Propozycja przeszła przy dwóch głosach wstrzymujących się: Grażyny Staniszewskiej i Stasia Węglarza oraz przy moim sprzeciwie. Nie godziłem się na żadnego z tych panów. Po tym zdarzeniu Lechu wezwał mnie do Hotelu Europejskiego, gdzie wówczas nocowałem, i kilkakrotnie pytał, kto za mną stoi”.

Otóż właśnie. Wałęsa nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł mieć własne zdanie. Ponieważ sam go nie miał, wykonując polecenia Kiszczaka, nie wyobrażał sobie, że ktokolwiek inny mógł je mieć. I było tylko problemem dla niego kto mógł stać za jakimkolwiek zdaniem czy

opinią.

Z faktu tego płyną dalsze konkluzje. Nie dyskutując, czy Wałęsa był "Bolkiem" jest faktem, że po zatrzymaniu go w "stanie wojennym" był on izolowany od innych przywódców "Solidarności", którzy znaleźli się pod kluczem. A z tego co wiadomo, w Arłamowie musiało mu się wieść nieźle, skoro zyskał 14 kilogramów na wadze. Czasem też odwiedzał go Kiszczak, z którym chodził, z dubeltówką na ramieniu, na polowanie. Czyżby więc Wałęsa był więźniem nie tylko "bardzo specjalnym", ale po prostu upozorowanym?

Stąd też jest bardzo prawdopodobne, że zwołując "okrągły stół" władze nie zalegalizowały "Solidarności", żeby jej niektórzy przywódcy nie mieli w czasie jego trwania nic do powiedzenia. "Negocjowano" faktycznie tylko z Wałęsą, gdyż Komitet Obywatelski, utworzony personalnie przy nim, żadnego mandatu do podejmowania decyzji nie miał.

Na Wałęsie zaś władze mogły w pełni polegać. Zresztą, nie był on zapewne odosobniony w zaufaniu władz. Po wprowadzeniu "stanu wojennego", władze, które już dawniej posiadały rozbudowaną sieć agenturalną wśród opozycji (jeśli tylko była autentyczna), rozpoczęły akcję prowadzenia tzw. wywiadu totalnego, rekrutując masowo nowych agentów spośród opozycji.²⁸ A że tak istotnie było świadczą ostatnio opublikowane dane (jeśli tylko pełne). Tak na przykład, o ile tylko UB/SB rekrutowały w czasach PRL do 1980 r. średnio po ok. 1 tys. agentów rocznie, to w samym tylko 1981 r. rekrutacja ich przekroczyła 5 tys., a w latach 1982-1983 po 10 tys. rocznie i w 1984 r., ostatnim roku z dostępnymi danymi, aż 14 tys.²⁹

Mając taką armię agentów (a do nich należałoby jeszcze dodać tych z wojskowych służb specjalnych i radzieckich), władze mogły sobie urządzać "okrągłe stoły", a raczej zorganizować i przeprowadzić Operację "Okrągły Stół", która, po kilku miesiącach od jej formalnego końca, faktycznie zakończyła się pozorowanym zgonem PRL i nie mniej pozorowanymi narodzinami III Rzeczypospolitej.

Przesada? Paranoja? Ależ skądże, to prawda! Przypomnijmy, że w rozmowach

“okrągłego stołu”, po stronie “koalicyjno-rządowej”, niezwykle ważną rolę odgrywał Aleksander Kwaśniewski, obecny prezydent III RP w drugiej kadencji. Kwaśniewski, zarówno w Magdalence jak i w URM, odgrywał rolę o wiele większą, niż wynikałoby to z jego stanowiska ministra w rządzie Rakowskiego i przewodniczącego Komitetu Społecznego Rady Ministrów.

Przypadek czy przemyślany ruch o dalekosiężnym celu?

Leszek Miller z kolei, obecny premier, wówczas członek Biura Politycznego i Sekretarz KC PZPR, brał udział w “okrągłym stole”, ale nie w “42-osobowej Magdalence”. Widocznie jednak rola jego w “okrągłym stole” była większa od oficjalnej, gdyż to on “specjalnie” (tak to określono) skomentował jego wyniki dla “Trybuny Ludu” z 6 kwietnia 1989 r. Ciekawe, że to on właśnie powiedział, że “okrągły stół” nie zastępuje organów państwa... Co miał na myśli?

XII

Mówiąc tak, Miller wiedział już zapewne, że po zakończeniu "okrągłego stołu", organy państwowe - jak je określił - nie tylko nie przestaną istnieć, ale przystąpią do kolejnej operacji, do wyborów. Wiedział również, że zbierający się 7 kwietnia 1989 r. Sejm uchwali nową ordynację wyborczą, wnoszącą poprawki do konstytucji, które umożliwią reaktywowanie z czasów II RP dwuizbowego Zgromadzenia Narodowego oraz urzędu prezydenta.

Data wyborów stała się więc niezwykle ważna, zwłaszcza że rozpoczynał się "okrągły stół". Wybory do Sejmu powinny odbyć się jesienią 1989 r. Ostatnie odbyły się jednak w październiku 1985 r., a poprzedzające je w marcu 1980 r., czyli przerwa w wyborach trwała ponad 5,5 roku. Rakowski jednakże, w końcu 1988 r., w porozumieniu z Jaruzelskim, wybory postanowił przyspieszyć prawie o dwa lata (planowano je na jesień 1990 r.). Decyzję utrzymano w tajemnicy przed stroną "solidarnościowo-opozycyjną", ale poinformowano o niej Kościół.

Dlaczego władze zdecydowały się przyspieszyć wybory?

Po prostu wiedziały, że strona "solidarnościowo-opozycyjna" do rządów nie pchała się i stąd przyspieszenie wyborów, które ponadto nie byłyby wolne, było dla niej obojętne.

Skąd o tym wiedziały? Choćby z cytowanej przez Rakowskiego wypowiedzi Wałęsy z 30 stycznia 1989 r. na forum gdańskiego ZSMP (Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej)!:³⁰

"W skali kraju nie ma takiej siły i nawet "Solidarność" nie jest w stanie lepiej pokierować krajem jak obecne władze. Dlatego, że to nie jest takie proste... Możemy dzisiaj wymienić

paru kiepskich na lepszych, natomiast nie ma takiej siły w Polsce, która mogłaby się kusić o przejęcie władzy. Niektórzy mówią, że to tragiczne, ale taka jest prawda...należy natomiast budować pluralizm polityczny i inny... Ja przypuszczam, że ta budowa w dobrych warunkach cieplarnianych potrwa 5-10 lat. Za jakieś 10 lat można by lekko pokusić się nie o całą władzę, lecz o jakiś procent”.

Władze, wiedząc o tym, że opozycja (pomijając już fakt na ile była ona wiarogodna) jest niezdolna do przejęcia władzy, której zresztą w dodatku na razie nie chciała, cynicznie i z premedytacją, po zakończeniu Operacji “Okragły Stół”, w nowej Operacji “Wybory” postanowiły, długo utrzymując zamiar w tajemnicy, weisnąć jej część władzy.

Tak też stało się. Władze z góry zapewne przewidziały “zamieszanie” z powodu wyników czerwcowych wyborów, które u opozycji, “Solidarności” zwłaszcza, wywołają wrażenie, że oto pojawiła się szansa na zdobycie kawałka, jeśli nie całej władzy!

Mając taki plan, Kiszczak i inni reprezentanci strony “koalicyjno-rządowej”, zaczęli na posiedzeniach “okragłego stołu” w Magdalence i w URM przeciw na przedterminowe wybory, podsuwając drugiej stronie jako przynętę możliwość zdobycia 35 procent mandatów w Sejmie X kadencji (w ten sposób zachowywano jego ciągłość z czasów PRL) i 100 procent w Senacie.

Co więcej, przyrzekali następne wybory jako już całkowicie wolne.

Strona “solidarnościowo-opozycyjna” przynętę połknęła i w rezultacie tego w czerwcu 1989 r., a nie jesienią 1990 r., lub wiosną 1991 r., doszło do wyborów w dwóch turach.

Czy jednakże władze w swoich rachubach nie przeliczyły się?

Władze, co rzucało się w oczy w czasie przedwyborczej kampanii, nie wykazywały chęci wygrania wyborów. Przeciwnie, nawet jakby pomagały opozycji w wyjściu z nich zwycięsko tam, gdzie zwycięstwo było dopuszczalne. Zanim bowiem powtórnie zarejestrowały “Solidarność” 17 kwietnia 1989 r. (zarejestrowano ją na nowo, nie cofając dawnej decyzji o jej delegalizacji), pośrednio pomogły jej w stanięciu na nogi. Dawnych

struktur, "Solidarność nie mogła szybko odbudować, ani tym bardziej osiągnąć ilości swoich członków z lat 1980-1981. Ale władze, zezwalając w grudniu 1988 r. na powstanie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie (znaleźli się w nim również ludzie dawniej nie należący do "Solidarności"), który w międzyczasie zdążył już utworzyć swoje terenowe agendy, dały mu możliwość stanięcia do wyborów jako głównej sile "solidarnościowo-opozycyjnej". Prawda, start KO, podobnie jak "Solidarności" (często obie instytucje przeplatały się nawzajem), nie był w wyborach łatwy, gdyż po zamknięciu "Tygodnika Solidarność" 13 grudnia 1981 r., opozycja, poza tzw. drugim obiegiem, swoich oficjalnych publikacji nie miała, podobnie jak nie miała dostępu do telewizji i radia. Władza jednak i tutaj okazała się pomocna. Dzięki jej pomocy finansowej, 8 maja 1989 r. ukazała się "Gazeta Wyborcza", pod kierownictwem Adama Michnika, a 2 czerwca wznowił działalność "Tygodnik "Solidarność", jak dawniej pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego.

Mimo tych opóźnień, strona "solidarnościowo-opozycyjna poradziła sobie z kampanią i mając do zdobycia 161 mandatów poselskich i 100 senatorskich, już w I turze wyborów, 4 czerwca 1989 r., zdobyła 160 poselskich i 92 senatorskie, czyli z 261 możliwych miejsc do zdobycia w Zgromadzeniu Narodowym zdobyła 252.

Zawiodła jedynie frekwencja wyborcza, wynosząc tylko 62 procent. Przy bliższej analizie głosów okazywało się też, że zwycięzcy mieli niewielką przewagę nad pokonanymi.

Tym niemniej, porażka strony "koalicyjno-rządowej" już w I turze wyborów była druzgocąca. Przede wszystkim, klęska spotkała tzw. listę krajową, złożoną z działaczy centralnego szczebla. Z jej 35 kandydatów, przeszło tylko dwóch (przepadł m. in. Rakowski). Inna rzecz, że przegrani byli często o krok od wygranej.

Jeszcze gorzej było z II turą wyborczą 18 czerwca 1989 r. Frekwencja, co prawda, wyniosła tylko 25 procent, ale opozycja zdobyła brakujący do pełnej kwoty 1 mandat w Sejmie i 7 z 8 w Senacie³¹.

Klęska władzy w wyborach była więc ogromna.

Ale czy niespodziewana i aż tak nie po jej myśli?

Z oficjalnych wynurzeń władzy wynikało, że była to klęska niespodziewana i bolesna. Z drugiej strony, jeśli istotnie miała ona dopuścić opozycję do współrządzenia krajem, to jak inaczej mogło to nastąpić, niż poprzez jej wyborczy triumf?

Triumf sił "solidarnościowo-opozycyjnych", aczkolwiek nie dający im koniecznej większości do rządzenia krajem, spowodował jednakże, że niektórzy z ich czołowych aktywistów, do których, rzecz godna uwagi nie zaliczał się Wałęsa, stali się raptem zwolennikami wzięcia władzy, o czym jeszcze kilkanaście dni wcześniej nawet nie marzyli.

Czy był to ich własny pomysł czy ktoś i gdzieś im to chytrze podpowiedział, nie ma co do tego całkowitej pewności. Oni sami zarzekają się, oczywiście, że był to ich własny pomysł.

Kim byli ci ludzie i czym kierowali się, wyciągając rękę po władzę, nie szukając jej przy "okrągłym stole"? Zawrót głowy od sukcesów, czy wpadka w pułapkę?

XIII

Ludzie, którzy wzięli się za budowę III RP, są w powszechnym odczuciu Polaków ludźmi opozycji, szczególnie wywodzący się z szeregów "Solidarności".

Nieprawda! Głównymi budowniczymi III RP były władze schodzącej ze sceny dziejowej PRL i ich agenturalne macki wewnątrz opozycji, jeśli taka istotnie istniała, zwłaszcza na jej kierowniczym szczeblu.

Budowa nowego państwa, a takim miała być III RP, to przedsięwzięcie niezwykle złożone, głównie w sytuacji, w której miałyby ono być nie przedłużeniem starego, ale czymś z gruntu odmiennym. Jeśli bowiem III RP miała być państwem w pełni niepodległym i suwerennym, demokratycznym i o gospodarce rynkowej, to wymagało to wielu zasadniczych reform dosłownie w każdej dziedzinie dawnej państwowości, w możliwie krótkim czasie.

Czy opozycja, zakładając jej autentyczność, była do tego przygotowana?

Nic podobnego! Jacek Kuroń ma rację pisząc:³²

"Program rządzenia i kadry może mieć opozycja przygotowane tylko wtedy, kiedy jest w parlamencie. Tylko opozycja parlamentarna ma wszystko, co potrzebne do rządzenia: pracuje nad budżetem, pracuje w komisjach nad rozwiązaniami ustawowymi. Myśmy o takich działaniach w ogóle nie mieli pojęcia.

Jakie mogliśmy mieć kadry? Podziemnych drukarzy, redaktorów, działaczy związkowych. Było po naszej stronie wielu profesorów uniwersytetu, dziennikarzy, pisarzy, artystów, uczonych. Polityków w znaczeniu państwowym nie mieliśmy. A przecież wziąć władzę, to nie wystarczy wejść w elitę rządu. Trzeba jeszcze mieć kadry w ministerstwach:

wiceministrów, dyrektorów departamentów, a potem trzeba mieć jeszcze wojewodów, a potem jeszcze kadry niższej administracji. Jasne było, że będziemy skazani na administrację komunistyczną ...W związku z tym możemy powołać rząd, ale ten swoje zarządzenia może wieszać zamiast papieru toaletowego. Zdecydowaliśmy więc, że jak weszliśmy do parlamentu, to musimy w nim być jako opozycja”.

Cóż więc stało się, że nagle opozycja, nadal zakładając jej autentyczność, zmieniła zdanie? Brakujące do rządzenia krajem kadry wyczarowała z kapelusza? Znalazła jakieś inne “cudowne rozwiązania”, które gwarantowały osiągnięcie o tyle ambitnych co utopijnych celów radykalnej przebudowy państwa?

Bynajmniej nie, a pomimo to opozycja po władzę sięgnęła, choć do czerwcowych wyborów o tym ani przez chwilę nie marzyła.

Poglądy Wałęsy na rządzenie państwem, cytowane już poprzednio czy Kuronia, cytowane powyżej, należy uzupełnić jeszcze poglądami osoby bardziej autorytatywnej, dr Andrzeja Zakrzewskiego, historyka i ministra w kancelarii prezydenta Wałęsy. Oto co mówi, porównując powstanie II RP w 1918 r. i III RP w 1989 r., na temat podobieństw i odmienności obu historycznych wydarzeń:³³

“W 1918 r. krążyło powiedzenie: “ni z tego, ni z owego, będzie Polska na pierwszego”.

Nie była to jednak prawda. Polska nie spadła wtedy z nieba. Przeciwnie, odrodziła się po 123 latach narodowej niewoli... w wyniku walk i krwawych powstań, w wyniku pracy organicznej, a także w efekcie dyplomatycznych zabiegów kilku naszych znakomitych rodaków. To raczej w 1989 roku wolna i niepodległa Polska przyszła “ni z tego, ni z owego”. Otrzymaliśmy ją niejako w prezencie... Prawdę powiedziawszy, rok 1989 nas zaskoczył. Wszyscy też nie byliśmy do tej nowej sytuacji przygotowani. Opozycja nie miała żadnego doświadczenia ani wystarczającej liczby odpowiednich kadr, zdolnych nie tylko do przejęcia władzy, ale i współrządzenia krajem”.

Święta prawda! Gdyby jeszcze historyk Zakrzewski zastanowił się kto i dlaczego dał opozycji "Polskę w prezencie", to oddałby swoim rodakom ogromną przysługę. Podobnie gdyby poparł faktami swoje stwierdzenie, że Polska jest już teraz "wolna i niepodległa". A dlaczego wcześniej nie mogła nią być? W 1989 r. przecież, ZSRR istniał sobie w najlepsze i nikomu nie przychodziło do głowy, że wkrótce rozpadnie się czy raczej "rozpadnie się".

Ciągle jednak nie odpowiadam na pytanie z końca poprzedniego odcinka artykułu kim byli ludzie, którzy raptem zdecydowali się wziąć władzę?

Z tego co można wyczytać ze wspomnień czołowych działaczy "Solidarności", gdyż oni przede wszystkim liczyli się w opozycji, to pomysł "brania władzy" nie wyszedł od Wałęsy, co powinno natychmiast, a jeszcze bardziej po latach, wywołać podejrzenia, że coś było tutaj nie tak jak trzeba. Tym bardziej, że w czasie spotkań w Magdalence, w ich końcowej fazie zwłaszcza, "trąbienie w jedną trąbkę" przez Kiszczaka i Wałęsę rzucało się w oczy.

Co więcej, Wałęsa, z przyczyn do dziś niejasnych, nie kandydował w czerwcowych wyborach do odtwarzanego Zgromadzenia Narodowego, ani do Sejmu, ani do Senatu. Jeśli "Solidarność" miała po wyborach pozostać w opozycji, to przecież było logiczne w istniejącej wówczas sytuacji, że powinien jej przewodzić Wałęsa. W "Solidarności" nie miał przecież konkurenta do przywództwa nad nią (potwierdziło się to dobitnie w kwietniu 1990 r. na jej II Zjeździe Delegatów, gdzie bez trudu powtórnie wybrano go na swojego przywódcę).

Skoro nie Wałęsa przejął inicjatywę sięgania "Solidarności" po władzę, to kto?

Jeśli wierzyć Kurońowi, to on, wtedy członek KO, uczestnik "okrągłego stołu" i dopiero co wybrany na posła, wpadł na pomysł "brania władzy", nad ranem 5 czerwca 1985 r., kiedy wstępne wyniki I tury wyborów nie pozostawiały już wątpliwości, że KO, albo jak kto woli "Solidarność", wyszła z nich zwycięsko. Co prawda, Kuroń jakoby wiedział, że do rządów "Solidarność" nie była gotowa i nie wiedział jak na coś takiego zareagowałby ZSRR, ale autorstwo pomysłu przypisuje sobie (inna rzecz, że nie bardzo wiadomo z kim i jak

podzielił się swoim pomysłem).

Do pomysłu “brania władzy” przyznaje się też Jarosław Kaczyński, wtedy sekretarz KKW “Solidarność”, uczestnik “okrągłego stołu” i świeżo wybrany senator. Jego wspomnienia są o tyle ciekawsze od Kuronia, że 6 czerwca 1989 r. “oblewał” swoje senatorskie zwycięstwo w gronie, w którym uczestniczył także Wałęsa. Jak pisze, on z bratem Lechem (też senatorem) był za “braniem władzy”, ale inni (m. in. Mazowiecki) byli temu przeciwni. Wałęsa zaś “raz przychyłał się do opinii mojej i brata, raz do tamtych”³⁴.

Chwiejna postawa Wałęsy, tak jak jego nie kandydowanie w wyborach, patrząc na to pod kątem późniejszych wydarzeń, prowadzi do wniosku, iż nie on decydował co miało być dalej.

Decydowały o tym władze PRL, Jaruzelski z Kiszczakiem w pierwszym rządzie.

XIV

Narodziny III RP, które rozpoczęły się od spotkania Kiszczak-Wałęsa 31 sierpnia 1988 r., trwały następnie przez cały okres "okrągłego stołu", a po I turze czerwcowych wyborów zaczęły wchodzić w ostatnią fazę, która trwała jeszcze wiele miesięcy.

Jak przebiegała nowa faza - niby wszystko wiadomo. Ale tak naprawdę to przebieg jej pozostaje nadal niejasny. Każde bowiem widoczne gołym okiem wydarzenie, miało swoje kulisy, które do dziś nie zostały wyciągnięte na światło dzienne.

Tak na przykład, do dziś nie wiadomo co miało oznaczać zwołanie przez Jaruzelskiego 8 czerwca 1989 r. Rady Wojskowej, w której uczestniczył także Kiszczak. Formalnie, omawiała ona jakoby "zadania sił zbrojnych po wyborach" - jak to podał komunikat. Ale jakie to miały być zadania? Podobno - jak to Kiszczak "na boku" dawał do zrozumienia - Rada rozważała wprowadzenie "stanu wyjątkowego" i unieważnienie wyborów, które z "niekonfrontacyjnych" stały się ponoć "konfrontacyjne".

Czy istotnie doszłoby do tego, można wątpić, ale z pewnością co bardziej "gorącym głowom", upojonym wyborczym zwycięstwem, władza dała do zrozumienia, że jeszcze istnieje i jak trzeba będzie sięgnie do siły w swojej obronie. Ostrzegając (do dziś nikt z jej ówczesnych członków nie przyznał się do tego), władza ułatwiała misję Wałęsie, wobec którego miała zapewne bardziej dalekosiężne plany i nie jest tylko jasne, czy on o tym wiedział.

Posiedzenie Rady Wojskowej nie pozostało bez skutku. Ludziom w opozycji, którzy byli nastawieni na najdalej idącą ugodę z władzą, jak Mazowiecki, Rada dała broń do ręki. Zaczęli bowiem twierdzić, że lepiej władzy nie prowokować. Inni byli przeciwnego zdania,

ale skutek tego był taki, że opozycja, a ściślej mówiąc kierownictwo "Solidarności" podzieliło się, z Wałęsą należącym do "ugodowców".

Dla zamieszania sceną polityczną jeszcze bardziej, 10 czerwca 1989 r. rzecznik rządu podał, że w czasie "okrągłego stołu" uzgodniono (czego jednakże nie podano dotąd do wiadomości), iż prezydentem, ciągle jeszcze PRL, ma być Jaruzelski. Rzecznik "Solidarności", ale nie Wałęsa, informacji tej zaprzeczył. W rezultacie tego powstało zamieszanie, rozbijające tylko dalej szyki stojącej na nogi "Solidarności".

Jak sprawy potoczyłyby się dalej, gdyby władza obstawała przy dawniejszych ustaleniach, nie jest pewne. Wycofując jednak z II tury wyborów "listę krajową", na której widniały nazwiska jej członków, nieco rozładowała sytuację, ale oto pojawiły się nowe komplikacje, tym razem niemal wyłącznie po stronie "solidarnościowo-opozycyjnej".

Oto bowiem, 22 czerwca 1989 r. odbyło się spotkanie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Zgodnie z uchwałą KKW "Solidarności" z 14 czerwca, Wałęsa chciał rozwiązać Komitety Obywatelskie w terenie, ale spotkał się ze sprzeciwem i decyzji tej poniechał. Skłonny był natomiast zreformować "swoją" własny KO i do tego celu powołał specjalną komisję. W rezultacie tego, w szeregach "Solidarności" zaczęło się wkradać zamieszanie. Już w dniu następnym, 23 czerwca, pogłębiło się ono jeszcze bardziej, potem jak utworzono w Zgromadzeniu Narodowym, z posłów i senatorów opozycji, OKP, Obywatelski Klub Parlamentarny, na czele którego stanął Bronisław Geremek.

Tak więc, obok KKW i KO, wyrósł jeszcze jeden ośrodek "opozycyjnej władzy" - OKP. Druga strona też nie próżnowała i 24 czerwca "Żołnierz Wolności", organ MON, wysunął kandydaturę Jaruzelskiego na prezydenta. Jaruzelski jednakże, po tym jak OKP sprzeciwiło się jego kandydaturze, 30 czerwca wycofał się z ubiegania o prezydenturę, proponując na swoje miejsce... Kiszczaka!

Powstałe zamieszanie wokół wyboru prezydenta (wówczas jeszcze przez Zgromadzenie Narodowe) pogłębiło się, kiedy OKP postanowił nie wysuwać Wałęsy na urząd

prezydencki.

W kraju z kolei, gwałtownie zaczęła się pogarszać sytuacja gospodarcza, zwłaszcza zaopatrzenie w mięso (nie było go nawet na kartki), w wyniku czego rząd 3 lipca zamroził do końca miesiąca ceny i płace, co znacznie pogorszyło nastroje wśród społeczeństwa i odwróciło jego uwagę od powstałego zamieszania na scenie politycznej. Stąd też, rzucone w "Gazecie Wyborczej" tego dnia (3 lipca) hasło Michnika "Wasz prezydent - nasz premier", wywołało u ludzi mniejsze zainteresowanie niż powinno. O "okrągłym stole", po obu stronach zresztą, różnie już wtedy zaczęto mówić i dlatego coraz to nowe sensacje mało kogo już podniecały.

Tymczasem rozwój sytuacji w Polsce zaniepokoił Zachód (nie ZSRR, gdyż trzymał on rękę na pulsie i jak na razie nie miał powodów do niepokoju).

Najpierw zjechał do Polski 14 czerwca francuski prezydent François Mitterand, a 9 lipca prezydent amerykański George H. Bush.

Na wizytę Busha zwróćmy baczniejszą uwagę.

Poczynając od 17 kwietnia 1989 r., Bush złożył wreszcie szereg publicznych deklaracji, na które Moskwa czekała i przyjęła je z dużym zadowoleniem. Teraz już nie tylko nie miała obaw, że USA zaczną jej komplikować grę w Polsce, ale nawet nabrała pewności, że mogą jej one być w niej pomocne.

Bush, jak to ujawnił po latach w przypisie do opublikowanych niektórych dokumentów z czasów swojej prezydentury, Jaruzelskim był autentycznie zachwycony, tak o nim pisząc:³⁵

"Generał Wojciech Jaruzelski, głowa Polski. W ciągu lat poznałem go dobrze i choć był komunistą, był także patriotą i wojskowym bohaterem".

Nic więc dziwnego, że Bush, słysząc o perypetiach Jaruzelskiego z prezydenturą, postanowił mu...pomóc! Zaprosił 11 lipca 1989 r. Jaruzelskiego i opozycję, z Geremkiem na czele, na obiad w ambasadzie USA w Warszawie, apelując do niej, żeby "wraz z partią komunistyczną pracowała dla stworzenia promiennej Polski".³⁶

Nie mogło być zresztą inaczej, skoro zaplanowana na 45 minut rozmowa Busha z

Jaruzelskim przeciągnęła się do 2,5 godzin. Jaruzelski bowiem - jak wspomina to Bush³⁷ - radził go się co ma robić, gdyż "Solidarność" oponuje jego prezydenturze! Bush, rozczulony szczerością Jaruzelskiego, namawiał go, żeby powtórnie przemyślał decyzję wycofania swojej kandydatury na prezydenta. Przyrzekł też Jaruzelskiemu, że na spotkaniu z Wałęsą w dniu następnym, będzie z nim rozmawiał na ten temat, dodając od siebie we wspomnieniach, że Jaruzelskiego uważał "za największą nadzieję łagodnego okresu przejściowego w Polsce..."

Nie był to jednakże jeszcze koniec powyborczej komedii, która z każdym dniem nabierała na tempie i obfitowała w coraz to nowe niespodzianki.

XV

Wybory prezydenta, po tym jak Jaruzelski zrezygnował z kandydowania na to stanowisko, wysuwając na swoje miejsce Kiszczaka, doczekały się raptem nowego i dość niespodziewanego zakrętu.

Co dokładnie było tego przyczyną nie bardzo jest jasne. Z różnych wspomnień czołowych osobistości obu stron nie wynika, że przed, w czasie czy po "okrągłym stole", a nawet po czerwcowych wyborach, władze PRL oferowały opozycji udział w rządzie. Oferty takie nastąpiły dopiero potem, po 10 lipca 1989 r. Dlaczego po tej dacie? Opozycja ze swojej strony, jak to wiadomo z cytowanych w innym odcinku wspomnień Kuronia, miała ochotę na "wzięcie rządu" (Wałęsa jej nie miał), ale nie była pewna jak na to zareagowałby ZSRR. "Doktryna Breżniewa", dająca mu prawo do interwencji zbrojnej w "bratnim kraju", jeśli próbowałby wyłamać się spod kontroli Moskwy, była przecież nadal w mocy.

I oto raptem ZSRR sam zabrał głos w tej sprawie. Gorbaczow bowiem, występując 6 lipca 1989 r. na forum Rady Europy w Strassburgu, faktycznie unieważnił "Doktrynę Breżniewa", aczkolwiek nie formalnie.³⁸ Co więcej, na szczycie Układu Warszawskiego w Bukareszcie, który odbył się 7-8 lipca 1989 r., powtórzono to samo, a na dodatek Giоргий Szachnazarow, doradca Gorbaczowa, występując w Moskwie na konferencji prasowej również potwierdził faktyczny zgon "Doktryny Breżniewa".

Teraz nie było już wątpliwości, że Moskwa dała Warszawie "zielone światło" na tworzenie rządu "wielkiej koalicji" (możliwe, że Jaruzelskiemu dała je znacznie wcześniej, ale nadal nie wiemy, czy podzielił się on jej zgodą z Wałęsą).

Aby jednak upoźorować brak otwartej interwencji ZSRR w wewnętrzne sprawy PRL,

przełom w tworzeniu "wielkiej koalicji" nie nastąpił natychmiast. Szedł etapami.

Pierwszym było spotkanie Kiszczak-Wałęsa w dniu 14 lipca 1989 r., na którym ustalono, że nowym prezydentem będzie kandydat strony "koalicyjno-rządowej". W efekcie tego, 18 lipca, Jaruzelski raptem zmienił swoją decyzję z 30 czerwca (tylko naiwni mogą uwierzyć, że przekonał go do tego Bush), zapowiadając swoją kandydaturę na prezydenta. W dniu następnym, 19 lipca, odbyło się w Zgromadzeniu Narodowym głosowanie nad kandydaturą Jaruzelskiego. Na 544 głosujących posłów i senatorów "za" padło 270 głosów, 233 było "przeciw", a głosów wstrzymujących się było 34, w efekcie czego Jaruzelski przeszedł tylko jednym głosem. Ze strony "koalicyjno-rządowej", ugrupowania katolickie (PAX, UchS i PZKS) w całości głosowały "za", z PZPR jeden głos był "przeciw", z ZSL było 6 głosów "przeciw" i 13 wstrzymujących się, a z SD były 3 głosy "przeciw" i 4 wstrzymujące się. Ze strony "solidarnościowo-opozycyjnej", zwanej się teraz klubem OKP, 1 senator głosował "za", 11 posłów i 7 senatorów wstrzymało się od głosu, a 2 posłów i 5 senatorów oddało głosy nieważne. Gdyby nie te nieważne głosy, Jaruzelski nie otrzymałby wymaganej większości.

Nie kto inny więc tylko "Solidarność" wybrała Jaruzelskiego na pierwszego prezydenta rodzącej się III RP!

Przypadek czy z góry ustalona arytmetyka głosowania? Najprawdopodobniej głosy "przeciw" i wstrzymujące się z PZPR, ZSL i SD były niespodzianką i gdyby z tej strony padł jeszcze jeden głos "przeciw", to Jaruzelski, mimo że w OKP miał zapewne zagwarantowany odpowiedni margines bezpieczeństwa, prezydentem rodzącej się III RP nie zostałby.

Tak oto, "Solidarność", głosując na Jaruzelskiego, odpłaciła mu się za "stan wojenny"!

Drugi etap zaczął się 25 lipca, kiedy nowowybrany prezydent Jaruzelski odbył z Wałęsą 2-godzinną rozmowę, jedną z najdziwniejszych w granej komedii. Wałęsa bowiem poinformował Jaruzelskiego, że opozycja pozostanie opozycją i że "Solidarność" na żadną koalicję z PZPR nie pójdzie.

Naprawdę? Przypomnijmy zatem jak z tą "odmową" Wałęsy było, zwłaszcza że decyzja OKP z 26 lipca jego stanowisko potwierdziła, zgadzając się co najwyżej na wspólne z PZPR "wzięcie się" za gospodarkę. Ale jak? W rządzie czy poza rządem?

Zanim opozycja zastanowiła się nad tym, 28 lipca zebrało się XIII plenum KC, które już w dniu następnym przyjęło rezygnację Jaruzelskiego ze stanowiska I Sekretarza partii, wybierając na jego miejsce Rakowskiego (ciekawe, że "zbiegło się" to z oświadczeniem Wadima Zagładina, kierownika wydziału KC KPZR, że ZSRR będzie współpracował z każdym stworzonym w Polsce rządem).

Trzeci etap zaczął się od zwolnionego raptem przez Rakowskiego stanowiska premiera.

Klub poselski PZPR, 31 lipca, wysunął w tej sytuacji Kiszczaka jako swojego kandydata na premiera. Jednocześnie Geremek, z polecenia Wałęsy, informuje Sejm, że opozycja gotowa jest... sformować rząd!

Kto Wałęsie rozkazał tak postąpić? Sześć dni wcześniej powiedział przecież Jaruzelskiemu (jeśli tylko wierzyć komunikatowi z ich rozmowy w "cztery oczy"), że opozycja chce pozostać opozycją. A teraz raptem zmienił zdanie? Z kim z opozycji to skonsultował?

Tym niemniej, Jaruzelski 1 sierpnia zgłosił w Sejmie kandydaturę Kiszczaka na premiera, który, choć z oporami, uzyskał jego aprobatę. Wałęsa, który Kiszczaka popierał na stanowisko prezydenta, teraz zaczął się sprzeciwiać powierzeniu mu stanowiska premiera, a kiedy je mimo wszystko uzyskał, to 7 sierpnia oświadczył, że sprzeciwia się sformowaniu przez niego rządu, wychodząc z propozycją stworzenia koalicji przez "Solidarność", ZSL i SD.

Czwarty etap datuje się od tego dnia. W dwa dni później, 9 sierpnia, ZSL zrywa sojusz z PZPR (ciekawe czy było za daną z góry zgodą PZPR), a SD z kolei wychodzi z propozycją, żeby stworzyć rząd "okrągłego stołu", czyli "wielką koalicję".

Kiszczak w tej sytuacji 14 sierpnia rezygnuje z tworzenia rządu i z funkcji premiera, proponując na swoje miejsce Romana Malinowskiego, przywódcę ZSL, formalnie zdrajcę w oczach wielu aktywistów PZPR! OKP w tym czasie proponuje stworzenie "małej koalicji" ("Solidarność", ZSL i SD), a 18 sierpnia Wałęsa popiera to stanowisko, wysuwając jednocześnie Mazowieckiego (podobno bez konsultacji z kimkolwiek), jako kandydata na premiera. W dniu następnym dopiero KKW "Solidarność" zatwierdza decyzję Wałęsy. W tym samym dniu, ni stąd ni zowąd, XIV plenum KC PZPR uchwała... wejście partii do "koalicyjnego rządu"!

Jak to, przecież "Solidarność" nie prosiła o to PZPR!

Otóż właśnie, jak z tym było naprawdę - nie wiemy. Chodziły potem słuchy, że pomysł z Mazowieckim nie był Wałęsy, ale Jaruzelskiego (wolał go od Geremka i Kuronia i ciekawe tylko dlaczego). Sejm, 24 sierpnia 1989 r., przy 4 głosach sprzeciwu i 41 wstrzymujących się, powierzył Mazowieckiemu misję stworzenia rządu "wielkiej koalicji". Komedia dobiegła końca.

XVI

Komedia z wyborem prezydenta i premiera rodzącej się III RP dobiegła końca, ale w zamian za to przyszła kolej na dramat, którym były "solidarnościowo-opozycyjne rządy", czego skutki trwają do dzisiaj.

Powierzenie Mazowieckiemu misji tworzenia koalicyjnego rządu, człowiekowi, który przynajmniej publicznie (nie wiadomo czy szczerze) był przeciwny koalicji z PZPR i wzbraniał się przed obarczeniem go funkcją premiera, było olbrzymią niespodzianką. Był on, co prawda, już od kilku lat znany jako działacz "Solidarności", a jak to było już wspomniane w innym odcinku, w maju 1988 r. wyszedł niemal na bohatera narodowego, ale mimo wszystko powierzenie mu funkcji premiera zaskoczyło ludzi.

Mazowiecki, aczkolwiek w czasach przed "latem 80" był już w kraju znany jako "postępowy katolik", czyli kolaborujący z władzami PRL, to jednakże po "stanie wojennym" mało kto o tym pamiętał. A szkoda, gdyż jeśliby ktoś przypomniał niektóre fakty z jego życiorysu, to może euforia, jaka ogarnęła wielu Polaków i Zachód, że oto "Solidarność" łamie dotychczasowy monopol władzy PZPR, satelity KPZR, osobnikami pokroju Mazowieckiego, byłaby o wiele mniejsza, albo może nawet zamieniłaby się w protest.

Z życiorysu wynika, że Mazowiecki urodził się w 1927 r. w Płocku, mieście po wrześniu 1939 r. włączonym do Rzeszy. Czy jednakże mieszkał w Płocku w czasie wojny - tego nie wiadomo. Do 1952 r., kiedy ukazała się jego pierwsza publikacja, nikt nic o nim nie wiedział, czy skończył szkołę średnią i czy w ogóle studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, gdyż studiów nie ukończył. Na powierzchnię wypłynął jako działacz "PAX", organizacji jakoby katolickiej, założonej przez radzieckie i peerelowskie

służby specjalne.

Co się zaś tyczy wypłynięcia na powierzchnię poprzez publikacje, to Mazowiecki dał się poznać jako gorący zwolennik panujących w PRL porządków. Dzięki temu prawdopodobnie szybko awansował i w sierpniu 1953 r., w wieku 26 lat, zostaje redaktorem naczelnym "Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" (o ile wiem, stworzonego przez radzieckie służby specjalne). W piśmie Mazowiecki używał języka, którego nie używały partyjne publikacje. Jego "specjalnością" było niewybredne atakowanie członków hierarchii kościelnej (jak np. biskupa Czesława Kaczmarka, skazanego niesłusznie przez władze na 12 lat więzienia).

Władze doceniły te "talenty" i w 1958 r. pomogły mu w zorganizowaniu miesięcznika "Więź" (był jego redaktorem naczelnym przez następne 13 lat). W 1961 r. zaś nagrodziły go mandatem poselskim, który piastował przez 11 lat, działając w kole "Znak". Władze nie nagradzały przecież Mazowieckiego za darmo. Poza działalnością oficjalną, wykorzystywały go bowiem do ukrytych i perfidnych rozbijackich akcji rzesz katolików, nie tylko polskich. Chodzi tutaj o jego wielce podejrzaną rolę w czasie II Soboru Watykańskiego, trwającego w latach 1962-1965, gdzie prowadził wojnę podjazdową przeciwko prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu (który go od tego momentu unikał). Za to nie unikały go władze, aczkolwiek na ten temat mało wiadomo. Tak na przykład, do dziś nie jest jasne kto właściwie wysłał Mazowieckiego (z Geremkiem) do strajkującej stoczni gdańskiej w sierpniu 1980 r. Z niektórych źródeł wynika, że jakby sam wysłał się do Gdańska, jako redaktor naczelnny "Więzi"³⁹.

Co takiego, sam? Nie wydaje się to prawdopodobne, gdyż za dużą rolę tam odegrał, a to byłoby niemożliwe bez wiedzy i zgody władz. Jeszcze bardziej zagadkową rolę odegrał w 1984 r., kiedy z polecenia władz spotkał się z 11-oma aresztowanymi działaczami "Solidarności" (doprowadzonymi na spotkanie w kajdanach), namawiając ich do...emigracji!

Nic dziwnego więc, że w zagadkowej karierze Mazowieckiego, doszło do dwóch

Tak więc, jeśli Jaruzelski z Kiszczakiem byli akuszerami przy porodzie III RP, to Kriuczuk z Szeparszym byli czuwającymi nad nimi ginekologami...

Wizyta obu czołowych "kagebeczników" musiała przejść wysoce dla nich zadawalająco, gdyż Mazowiecki 12 września 1989 br. przedłożył Sejmowi skład swojego 23-osobowego rządu koalicyjnego. OKP dostał w nim 12 tek (w tym jedną wicepremiera; został nim Leszek Balcerowicz), PZPR 4 (w tym jedną wicepremiera, został nim Kiszczak, zachowując stanowisko ministra spraw wewnętrznych; gen. Florian Siwicki z kolei zachował stanowisko ministra obrony narodowej), ZSL 4 teki (w tym jedną wicepremiera), a SD 3 teki (w tym jedną wicepremiera).

"Resorty siłowe" pozostały więc w ręku PZPR.

A jaka była na to reakcja przeciętnego Polaka?

Niewielka. Kraj pogrążał się w kryzysie gospodarczym, ludzie ledwie wiąźali koniec z końcem, nomenklatura uwłaszczala się na potęgę, a ponadto nikt nie wiedział co będzie dalej.

XVII

Ludzi, wbrew lansowanym dziś w Polsce poglądom, interesowały przede wszystkim nie sprawy polityczne, w tym ustrojowe, ale poprawa bytu materialnego. Jeśli ktoś miałby w tej dziedzinie rozwiązania typu socjalistycznego, gwarantujące taką poprawę, to najprawdopodobniej nie spotkałyby się one z szerokim protestem. Jeśli bowiem wierzyć niektórym badaniom opinii publicznej, robotnicy w wielkich zakładach przemysłowych i wydobywczych, którzy w kraju byli główną siłą zdolną do masowego protestu, opowiadali się w swojej większości za socjalizmem. Hasło "socjalizm tak - wypaczenia nie!" nie było wymysłem władz, ale autentycznym poglądem większości robotników jak też urzędników, zwłaszcza tych z niższych i średnich szczebli. Pogląd ten był podzielany również przez wielu pracowników, a może nawet ich większość, w szeroko pojętej branży usługowej, do której należy zaliczyć przede wszystkim szkolnictwo wszystkich szczebli wraz ze służbą zdrowia oraz znaczną, jeśli nie większą, część ludności rolniczej (zwłaszcza zatrudnionej w PGR).

Rzecz jasna, socjalizm był też powszechnie akceptowany wśród zawodowej kadry wojskowej oraz w Milicji Obywatelskiej i Służbie Bezpieczeństwa.

O dziwo jednakże, wśród warstwy urzędniczej wyższego szczebla, zwłaszcza w kierownictwie przedsiębiorstw, a nawet w części wyższej administracji terenowej, socjalizm był mniej popularny. Funkcjonariusze ci, głównie od momentu rozpoczętej przez rząd Rakowskiego faktycznej transformacji ustrojowej, bardzo szybko zorientowali się, że "uwłaszczanie nomenklatury" jest okazją do szybkiego wzbogacenia. Do nich przyłączyły się służby specjalne, a nawet część aparatu partyjnego.

A co "Solidarność", gdzie ona znajdowała się w tym przełomowym momencie?

Prawdę mówiąc, nigdzie. Zaangażowana była w odbudowę swoich szeregów członkowskich i struktur organizacyjnych, rozbitych “stanem wojennym” i zdeorientowanych “podziemną opozycją”. Wałęsa nie przekazywał żadnych wytycznych co robić w powyborczej sytuacji, a zapowiedź Mazowieckiego, że jego rząd będzie coś dłużał przy “społecznej gospodarce rynkowej”, przeszła właściwie bez echa, zwłaszcza w szeregach “Solidarności”.

Zresztą, nie ona i jej odradzające się struktury liczyły się tutaj najwięcej, ale OKP z Geremkiem na czele. Sam Geremek nie był specjalnie aktywny na tym odcinku, ale wyręczył go w tym Kuroń, który jakimś cudem “nadział się” na Jeffreya Sachsa, młodego profesora z Harvardu, z gotowymi pomysłami co należy zrobić z polską gospodarką, żeby ruszyła z kopyta, a raczej - jak wspomina to Kuroń - “skoczyła na głowę”⁴².

Kuroń, który nie miał zielonego pojęcia o ekonomii, ani w teorii ani w praktyce, z miejsca zachwyił się poglądami Sachsa, które “odpowiadały” (sic!) jego własnym, a nawet zaciągnął go przed oblicze OKP, które zapoznało się ze “skokiem na głowę”, nie mając na ten temat własnego zdania.

A szkoda, gdyż OKP, skoro nie miała go “Solidarność” z Wałęsą na czele, był wtedy główną “nową siłą”, która powinna mieć słyszalny głos we wszystkich sprawach, a przede wszystkim w transformacji ustrojowej.

Nikt, niestety, takiego głosu nie usłyszał z ust OKP. Milczał na ten temat także “solidarnościowy” premier.

Tymczasem zaś, po tym jak rząd Rakowskiego zniósł 1 sierpnia 1989 r. kontrolę cen artykułów rolnych, transformacja ustrojowa, trwająca już od kilku miesięcy, nabrała samoczynnie na rozmachu i na razie nikt nie wiedział czym się ona skończy.

Powracając do Sachsa i jego pomysłów zamiany socjalizmu na kapitalizm “skokiem na głowę”, albo jak to wkrótce nazwano “szokową terapią”, to nie idę aż tak daleko, żeby całe przedsięwzięcie zaliczać do “spiskowej teorii dziejów”, ale faktem jest, że po czerwcowych wyborach działały się w konającej już PRL i rodzącej się III RP przedziwne rzeczy.

Przedsięwzięcie to nie było tylko wymysłem “słynnego amerykańskiego lewicowego miliardera George’a Sorosa, przybyłego z Węgier do USA spekulanta giełdowego żydowskiego pochodzenia”⁴³, ale było pomysłem grona ludzi o zbliżonych lub identycznych poglądach na temat zamiany jednego ustroju na drugi. Soros należał do tego grona pośrednio, a bezpośrednio Sachs (ze swoim pomocnikiem Davidem Liptonem).

Obiektywnie trzeba jednak zaznaczyć, że Soros z Sachsem, a nawet z Kuroniem i paroma innymi jak on ignorantami w sprawach ekonomicznych, niewiele zdziałaliby, gdyby natrafili na zdecydowany sprzeciw “Solidarności”, OKP, a nade wszystko nadal faktycznie rządzącej PZPR i nowowybranego prezydenta Jaruzelskiego. Żadne ustrojowe reformy w PRL/IIIIRP nie mogły być bowiem dokonane bez uchwalenia przez Sejm szeregu ustaw, które jeszcze musiały być podpisane przez prezydenta. A ponieważ Sejm był wtedy jeszcze nadal “kontraktowy”, to PZPR, przy ewentualnym poparciu ZSL, SD i części OKP, mogła transformację ustrojową bądź powstrzymać bądź skomplikować i opóźnić.

Nic takiego nie stało się jednak i Leszek Balcerowicz, nowy polski “car ekonomiczny”, przeprowadził przez Sejm wszystkie ustawy, jakie były mu do jego “planu” potrzebne, a Jaruzelski podpisał je bez najmniejszego sprzeciwu.

Dlatego też, prawdę mówiąc, mniejsze pretensje powinno się mieć do “Solidarności”, OKP, Wałęsy, Mazowieckiego, a nawet Sorosów, Sachsów i innych zagranicznych doradców (wśród nich licznymi byli “zachodni Polakacy”), niż do PZPR. To przecież ona, rękami rządu Rakowskiego, zapoczątkowała ustrojową transformację i wcale nie aż tak potajemnie, ale na oczach całego narodu, aczkolwiek nie ze wszystkimi szczegółami. Wyjątkiem była jedynie głęboko zakamuflowana i do dziś niejasna działalność FOZZ, Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, instytucji o “dwóch życiorysach” i bez osobowości prawnej, której początki są dość pokrętne. Tak na przykład, “stary” FOZZ powstał 13 grudnia 1985 r., ale “nowy” 15 lutego 1989 r.⁴⁴ Instytucja, obracająca miliardami dolarów i znajdująca się faktycznie w rękach służb specjalnych, powstała więc jeszcze przed nastaniem rządu Rakowskiego, nie

mówiąc już o rządzie Mazowieckiego. Ona też najprawdopodobniej była początkiem procesu "uwłaszczania nomenklatury", czyli ustrojowej transformacji, aczkolwiek dokonywanej "kuchennymi drzwiami". Bez służb specjalnych PRL, a do nich Soros z Sachsem dostępu nie mogli mieć, żadnej ustrojowej transformacji nie byłoby, nawet gdyby jej chciała PZPR. Mając zaś "zielone światło" od swoich radzieckich siostrzyc, zainicjowały one transformację, obławiając się przy tej okazji. Potem zaś podały pałeczkę różnym Balcerowiczom, kto wie czy nie swoim ludziom...

XVIII

Dlaczego służby specjalne PRL, zapewne na rozkaz swoich moskiewskich siostrzyc, mogły być zainteresowane ustrojową transformacją, czyli zamianą socjalizmu na kapitalizm? Przecież socjalizm je wyhodował i hołubił bardziej niż jakąkolwiek inną część swojej władzy!

Na to pytanie nie można jeszcze odpowiedzieć z całą pewnością. Ale prawdopodobnie, w ramach gigantycznej operacji "strategicznego oszustwa", wydumanej przez GRU i KGB w ZSRR, demontaż socjalizmu, na trwałe czy tylko przejściowo, był konieczny. W sytuacji gdzie należało wybierać pomiędzy pokojem a wojną, która mogła teoretycznie położyć kres istnieniu ludzkości, taki czy inny ustrój był ceną względnie niską.

Niemniej jednak, niezależnie od tego jakie były względy strategiczne, socjalizm jako ustrój, jakoby będący pierwszym etapem komunizmu, którego konkretne zarysy (dawniej były tylko ogólne) Chruszczow obwieścił z trybuny XXII zjazdu KPZR w październiku 1961 r., był mimo swojej rzekomej naukowości, czymś niezwykle mglistym, żeby nie powiedzieć utopią. Co prawda, po odejściu Chruszczowa w 1964 r. zapomniano o budowie komunizmu w ciągu jednego pokolenia, ale za to zaczęto opowiadać o budowie "rozwiniętego socjalizmu", choć nigdy nie było jasne czym miał on być.

Tymczasem zaś były kłopoty ze "zwykłym" socjalizmem, którego w PRL nie można było nijak zbudować, mimo że Gierek chciał już ogłosić jego zbudowanie i rozpoczęcie budowy "rozwiniętego". Zresztą, nawet tam gdzie socjalizm niby zbudowano, nie bardzo było wiadomo czym on był w istocie, aczkolwiek z całą pewnością nie był on ani demokracją ani kapitalizmem.

Pomijając polityczną i społeczną stronę socjalizmu i ograniczając się wyłącznie do jego strony ekonomicznej, to od początku były z nią kłopoty. Wątpliwości budziła bowiem istota ekonomii socjalizmu. Austriacki ekonomista Ludwig von Mises (1881-1973) twierdził na przykład, że "socjalizm to żadna gospodarka", a niemiecki socjolog, ekonomista i filozof Max Weber (1864-1920) tak daleko nie poszedł, ale twierdził z kolei, że o ile jest możliwe osiągnięcie przez kapitalizm i socjalizm tego samego celu, to socjalizm uczyni to większym kosztem.

Istotnie, ideologia marksistowsko-leninowska, pełna uproszczeń i ogólników, szczególnie braki wykazywała w dziedzinie funkcjonowania gospodarki. Stąd twierdzenie Lenina, że "socjalizm bije kapitalizm wydajnością", nie sprawdzało się w praktyce (aczkolwiek odcinkowo, jak na przykład w przemyśle zbrojeniowym, było inaczej). Oczywiście, korzenie tego stanu rzeczy były także historyczne, gdyż socjalizm dochodził do władzy na ogół w krajach gospodarczo mniej rozwiniętych, ale fakt pozostawał faktem, że nie socjalizm bił kapitalizm wydajnością pracy, ale odwrotnie. Teorię należało więc poddać krytycznej ocenie naukowej w świetle zdobywanego doświadczenia w krajach "realnego socjalizmu", ale kto miał to uczynić. Prawdziwych teoretyków socjalizmu prawie nie było, gdyż teoria była domeną przywódców i gremiów partyjnych, w ZSRR zwłaszcza. W konsekwencji tego, praktyka brała górę nad teorią. Tacy zaś nieliczni teoretycy w dziedzinie ekonomii socjalizmu, jak Oskar Lange w PRL, byli ledwie słyszalni, a jeśli już, to jedynie w kręgach akademickich, które miały minimalny wpływ na podnoszenie funkcjonowania gospodarki na wyższy szczebel.

Czy jednakże teoretycy pokroju Langego mieli receptę na poprawę tego funkcjonowania?

Najsłabszą stroną funkcjonowania gospodarki socjalistycznej był bądź całkowity brak rachunku ekonomicznego bądź jego wynaturzona forma. Wynikało to stąd, że brak samodzielności podmiotów produkcyjnych, opartych o kryterium zysku i konkurencji między

nimi, czyniło kształtowanie się cen, odzwierciedlających koszt wytworzenia towaru, niemożliwym. Lange, który uważał kwestię cen za kluczową w socjalizmie, nie bardzo jednak wiedział jak ją rozwiązać w praktyce. Twierdził tylko, że w socjalizmie cena i pieniąż pozostaną i uznawał "system cen" za jedną z wielkich zdobyczy kapitalizmu, którą socjalizm, wraz z nowoczesną techniką produkcyjną, powinien zaadoptować. Lange nie zdążył jednakże (zmarł w 1965 r.), albo nie mógł, wskazać jak należało to uczynić. Prawda, proponował "dwoisty system cen", a mianowicie "ceny rynkowe" i "ceny obrachunkowe", z których pierwsze miały być "cenami równowagi", a drugie odbiciem "społecznego kosztu produkcji", ale stąd niewiele wynikało dla praktyki. Czy swoje tezy rozwinąłby - nie wiadomo. Lange liczył bardzo na rewolucję naukowo-techniczną w kalkulacji kosztów, na "maszynę liczącą i rynek", gdzie przy pomocy komputerów można by precyzyjnie prowadzić rachunek ekonomiczny nie tylko na bieżąco, ale także w perspektywie długofalowej. Niestety, komputery były wtedy w powijakach, a ponadto należy wątpić, czy byłyby one w stanie spełnić pokładane w nich przez niego nadzieje.

Socjalizm od strony teorii w dziedzinie ekonomii, utknął więc na martwym punkcie. Królowało w nim centralne planowanie i zarządzanie oraz system nakazowo-rozdzielczy, które nie pozostawiały miejsca dla rachunku ekonomicznego. Póki gospodarka kraju była na niskim poziomie rozwoju i rozporządzała rezerwami rozwojowymi, pozwalającymi jej na stosowanie ekstensywnych metod wzrostu produkcji, system jako tako działał. Kiedy jednak rezerwy takie zaczęły się wyczerpywać i trzeba było sięgać do intensywnych metod stymulowania produkcji, a tym samym do rachunku ekonomicznego, sytuacja zaczęła się poważnie komplikować. Dla zaradzenia temu zaczęto sięgać do tzw. kategorii rynkowo-pięniężnych, albo inaczej "urynkowienia gospodarki" czy nawet "rynkowego socjalizmu", jak to miało miejsce w Jugosławii, w znacznym stopniu na Węgrzech i w mniejszym stopniu w PRL. Ale i to zawodziło. W rzeczywistości bowiem, zaczął się rodzić "hybrydowy system", ni to socjalizm, ni kapitalizm. Utrata pełnej kontroli nad takim systemem prowadziła do

negatywnych zjawisk, takich jak pojawienie się w ostatnich latach PRL na masową skalę galopującej inflacji. Wyścig pomiędzy szybko rosnącym popytem i nie nadążającą za nim podażą, zaczął destabilizować równowagę gospodarczą, jakąkolwiek by ona nie była. Ratunku przed rosnącą nierównowagą w coraz większym stopniu zaczęto więc szukać w zadłużaniu się za granicą, co bardzo szybko doprowadzać zaczęło do dalszego pogłębiania się nierównowagi. Reformy typu rynkowego, co gorsza, dając przedsiębiorstwom większe uprawnienia, jedynie pogarszały i tak już złą sytuację. Mając bowiem większą swobodę działania zyski swoje zaczęły one zwiększać nie drogą wzrostu efektywności gospodarowania, ale podnoszeniem cen. I dlatego, obok nasilającego się zjawiska inflacji popytowej, pojawiła się jeszcze groźniejsza inflacja kosztowa.

W efekcie tego, teraz już lawinowo, nierównowaga gospodarki zaczęła się pogłębiać.

Tak więc, "realny socjalizm", nie tylko zresztą w PRL, stanął na rozstajnych drogach.

Powrócić do dawnego systemu centralnego planowania i zarządzania, praktyk nakazowo-rozdzielczych, już nie bardzo mógł. Ale nie mógł też dalej "urynkawiać się", gdyż i to nie szło.

Czy wobec tego musiał, a raczej był zdolny, do przedzierzgnięcia się w kapitalizm, wykonując "skok na głowę", albo jak kto woli - poddać się "terapii szokowej"?

XIX

Zmiana ustroju w Polsce, którą formalno-prawnie zapoczątkowała 29 grudnia 1989 r. nowelizacja konstytucji przez "kontraktowy" Sejm, kładąca kres istnieniu PRL i zastępująca ją RP, Rzeczpospolitą Polską, z czasem zwaną III RP, faktycznie zaczęła się znacznie wcześniej.

Kiedy dokładnie? W tym cały problem, gdyż wszystko zależy od tego jak patrzeć na odcinkowo zachodzące zmiany ustrojowe w Polsce przed końcem grudnia 1989 r.

Co się tyczy zmian w funkcjonowaniu gospodarki, to odchodzenie od jej socjalistycznego charakteru, nie wchodząc już w to co on oznacza i czym był on w Polsce naprawdę, to początek tego procesu, rzecz paradoksalna, przypada na okres niemal natychmiast po wprowadzeniu "stanu wojennego". Wprowadzana bowiem w dwóch etapach reforma gospodarcza, zwłaszcza jej II etap, obejmujący drugą połowę lat 1980-ch, zaczęła faktycznie demontować ekonomiczną stronę socjalistycznego państwa. Hasła "3 S", "Samorządność", "Samodzielność" i "Samofinansowanie", przekuwane na konkretne działania na co dzień, dawało przedsiębiorstwom coraz większą swobodę decyzji, osłabiając tym samym rolę centralnego planowania i zarządzania w gospodarce. A ponieważ przedsiębiorstwa jeszcze za czasów Gierka zorganizowano w potężne monopole, WOG, Wielkie Organizacje Gospodarcze (stało się to po moim odejściu z doradztwa u Gierka w końcu 19972 r.), więc z poszerzenia danej im swobody działania, korzystały jak mogły, co bynajmniej nie oznaczało, że z pożytkiem dla gospodarki. Jak to już bowiem wspominałem w innym miejscu, monopole wykorzystywały swoje rosnące uprawnienia przede wszystkim do zwiększania cen swoich produktów, co w decydującym stopniu zaczęło się przyczyniać się do rosnącej presji inflacyjnej.

Po nastaniu rządów Rakowskiego, o czym również już wspominałem w innym miejscu, demontaż socjalizmu w gospodarce nabrał dodatkowo na rozmachu, czego punktem kulminacyjnym było obalenie z dniem 1 sierpnia 1989 r. kontroli cen na artykuły żywnościowe.

Ale też, co należy podkreślić, faktyczne odchodzenie od socjalizmu, przede wszystkim w gospodarce, aż do wspomnianej nowelizacji konstytucji w końcu grudnia 1989 r., nie oznaczało jeszcze zastępowania go kapitalizmem. Znany dotąd socjalizm, aczkolwiek już w szczątkowej postaci, jeśli chodzi o jego ideologiczną oprawę, odchodził w przeszłość, ale co miało przyjąć na jego miejsce?

Otóż właśnie, tego nikt wyraźnie nigdzie nie powiedział. W czasie obrad "okrągłego stołu", podczas którego sprawy funkcjonowania gospodarki zajęły najwięcej czasu i strony porozumiały się nawet co do głównych linii dalszego postępowania (co zresztą wkrótce uległo dezaktualizacji). Ale żadna ze stron nie postulowała zamiany socjalizmu na "gospodarkę rynkową", czyli kapitalizm. Dyskutujący konieczne przemiany 43-osobowy Zespół ds. Gospodarki i Polityki Społecznej, którego współprzewodniczącymi z ramienia koalicyjno-rządowego byli prof. Władysław Baka, członek Biura Politycznego KC PZPR i Sekretarz KC, główny architekt prowadzonej przez partię reformy, a ze strony solidarnościowo-opozycyjnej prof. Witold Trzeciakowski, pracownik Instytutu Ekonomicznego PAN, nie wspomnieli słowem o żadnej ustrojowej zmianie. W tzw. Tekście Stanowiska Zespołu z 5 kwietnia 1989 r., jest mowa o "Nowym Ładzie Ekonomicznym", który miał dokonać jedynie "przekształceń" w funkcjonowaniu istniejącego systemu gospodarczego, a nie tworzyć z gruntu nowego.

Przekształcenia	miały	polegać	na:
- rozwoju	samorządności	i partycypacji	pracowniczej;
- swobodnym	kształtowaniu	się struktury	własnościowej;
- likwidowaniu	pozostałości	systemu	nakazowo-rozdzielczego;
- jednolitej	polityce	finansowej	wobec przedsiębiorstw;

- podporządkowaniu mechanizmów selekcji kadr kierowniczych w przedsiębiorstwach według kryterium kompetencji fachowych⁴⁵.

Tak więc, wiele w gospodarce miało się zmienić, ale w sumie miała ona w swoich zarysach pozostać czymś w rodzaju "samorządowej gospodarki socjalistycznej", aczkolwiek z dopuszczeniem przedsiębiorstwa prywatnego do znalezienia sobie w niej swojego kąta.

Co najważniejsze, przyszły solidarnościowy premier Mazowiecki w pracach wspomnianego Zespołu udziału nie brał. Nie brali go też, gdyż w ogóle nie uczestniczyli w "okrągłym stole", zarówno jego przyszły doradca ekonomiczny Waldemar Kuczyński jak i Leszek Balcerowicz, późniejszy główny sprawca zamiany socjalizmu na kapitalizm.

Skąd w takim razie wziął się pomysł zamiany socjalizmu na kapitalizm? Nie chodzi o to, że takiej zamiany nie należało dokonać, ale problemem było jak to uczynić.

Pierwsza i oficjalna wzmianka na temat zamiany socjalizmu, pomijając już czym on wtedy jeszcze był, znalazła się w wystąpieniu Mazowieckiego z trybuny sejmowej 24 sierpnia 1989 r., przy okazji powierzenia mu funkcji premiera i upoważnienia go do stworzenia koalicyjnego rządu. Mazowiecki tak oto powiedział wtedy między innymi⁴⁶:

- "...Sprawą najważniejszą dla społeczeństwa jest stan gospodarki narodowej, który dziś musi być uznany za krytyczny... Długofalowym strategicznym celem poczynań rządu będzie przywrócenie Polsce instytucji gospodarczych od dawna znanych i sprawdzonych. Rozumiem przez to powrót do gospodarki rynkowej oraz roli państwa zbliżonej do rozwiniętych gospodarczo krajów. Polski nie stać już na ideologiczne eksperymenty..."

- "... Wszelkie zmiany... blokuje dzisiaj inflacja... Rząd mając poczucie absolutnej i pilnej potrzeby zmierzenia się z inflacją, przygotowuje zestaw niezbędnych posunięć, korzystając z tego, co starano się zrobić do tej pory..."

Były to ważne słowa. Dziwić tylko może, że wypowiedział je Mazowiecki, człowiek nie mający zielonego pojęcia o gospodarce. Ktoś zatem (wiadomo kto, ale o tym napiszę w innym miejscu), napisał mu te słowa. Ale nie to jest najważniejsze. W wystąpieniu

Mazowieckiego padła zapowiedź, choć zawoalowana, zamiany socjalizmu na kapitalizm. Z tym zastrzeżeniem jednakże, że zamiana miała być “długofalowym celem strategicznym”, a nie natychmiastowym “skokiem na głowę” czy jakąś “terapią szokową”. Celem natychmiastowym natomiast, blokującym wszystkie inne poczynania, miało być uporanie się z inflacją.

Dlaczego więc Mazowiecki odszedł potem od swojej zapowiedzi, ustalającej słusznie kolejność uzdrawiania gospodarki kraju? Co spowodowało, że wymienione przez niego cele, długofalowy i krótkofalowy, połączono w jeden? Czy aby nie za dużo i za szybko chciano osiągnąć za jednym zamachem?

A może chodziło o coś innego, o krach zamiany socjalizmu na kapitalizm?

Jeśli tak, to Mazowiecki sprawił się “na piątkę”.

Wystąpienie Mazowieckiego w Sejmie 24 sierpnia 1989 r. powinno być przedmiotem nie tylko dociekań historyków, ale wręcz śledztwa. Występując bowiem w dniu powierzenia mu misji stworzenia rządu, nie wiedział przecież jaki będzie jego skład. A mówił tak, jakby już go znał! Co na przykład znaczyły słowa, że rząd coś “przygotowuje”, skoro rządu jeszcze nie było? Chyba, że go już zapewniono, że rząd będzie i taki “jak trzeba”. I może to właśnie miał na myśli, kiedy mówił, iż jego rząd będzie “korzystał z tego, co starano się zrobić do tej pory”. A ponieważ powiedział, że “zasadę walki”, wcześniej czy później prowadzącą do wyeliminowania przeciwnika, należy zastąpić “zasadą partnerstwa”, to oczywiste stało się (więcej na ten temat powiedział 12 września), że nowa władza będzie właściwie kontynuacją starej.

Tym niemniej jednak, zastanawia co Mazowiecki, dawniej wychwalający socjalizm, mógł wiedzieć o dobrodziejstwach kapitalizmu, którego nadejście w perspektywie lat zapowiedział? Co też konkretnego wiedział o możliwości realizacji zapowiedzianych przez siebie dwóch celów gospodarczych, wspomnianych w poprzednim odcinku artykułu?

Z tego co pisze Waldemar Kuczyński⁴⁷, doradca, a potem szef doradców ekonomicznych Mazowieckiego, historia zamiany socjalizmu na kapitalizm, tym razem pod patronatem “Solidarności”, gdyż dotąd, zwłaszcza od nastania rządu Rakowskiego, czyniła to PZPR, nie nazywając zresztą rzeczy po imieniu, wymaga krótkiego przypomnienia.

Kuczyński, wówczas 50-letni ekonomista, ongiś członek ZMS i PZPR, a następnie zastępca redaktora naczelnego “Tygodnika Solidarność” (czyli Mazowieckiego), internowany w “stanie wojennym”, w sierpniu 1982 r., wyjechał legalnie z rodziną na Zachód. Zamieszkując w Paryżu, współpracował z “Wolną Europą”. Tam też, w 1987 r., odwiedził go

Mazowiecki. A kiedy w kraju zaczęły się “pookragłostołowe zmiany”, Kuczyński wsiadł w samochód i pojechał. W kraju skontaktował się z Mazowieckim i 21 sierpnia 1989 r. został jego doradcą ekonomicznym.

Pierwszym jego zadaniem było napisanie ekonomicznej części wspomnianego powyżej wystąpienia Mazowieckiego w Sejmie w dniu 24 sierpnia. Jak pisze Kuczyński, Mazowiecki, poza drobnymi zmianami, napisany przez niego tekst przyjął.

A co byłoby, gdyby doradcą ekonomicznym nie został Kuczyński, tylko ktoś inny? Czy wtedy Mazowiecki z trybuny sejmowej odczytałby jakiś inny tekst? I czy miałby on jakikolwiek własny pogląd w sprawach ekonomicznych?

Kto zresztą wie, czy Mazowiecki sam zatwierdzał tekst przedłożony mu przez Kuczyńskiego? W końcu przecież Kiszczak, desygnowany na wicepremiera, miał wtyczki wszędzie i trudno sobie wyobrazić, że Mazowiecki mógł mu “podskakiwać”. W OKP, na dzień przed wystąpieniem w Sejmie, Mazowiecki mógł powiedzieć, że “malowanym premierem” nie będzie. Ale czy to samo powiedziałby Kiszczakowi, Jaruzelskiemu czy jeszcze komuś innemu, jak wspomnianemu w innym odcinku Kriuczkowowi? Należy w to wątpić.

Mazowiecki, w każdym razie, sam czy z czyjąś “pomocą”, tekst Kuczyńskiego przyjął i stąd Polacy oraz cały świat (z wyjątkiem Moskwy zapewne, która o wszystkim wiedziała już przedtem) dowiedzieli się, że nad Wisłą nastąpi zamiana socjalizmu na kapitalizm, mimo że nie było wtedy jeszcze jasne kiedy dokładnie. Pomimo bowiem zapowiedzi Mazowieckiego o energicznej realizacji ekonomicznych celów, chętnych do podjęcia się tego zadania nie mógł znaleźć. Chęci na “cara ekonomicznego” nie miał ani Kuczyński, ani Trzeciakowski, który powinien być najpoważniejszym kandydatem na to stanowisko. Również inni, którym je proponowano, odmawiali. I czyż to nie dziwne?

W końcu (jeśli istotnie tak było jak to wspomina to Kuczyński), w ostatniej chwili, gdyż kandydat na omawiane stanowisko już prawie wyjeżdżał do Anglii z wykładami na

dłuższy pobyt, propozycja została przyjęta 1 września 1989 r.

Kandydatem tym był Leszek Balcerowicz, wówczas ponad 42-letni doktor nauk ekonomicznych (w następnym roku został habilitowany). Nie spekulując jak było naprawdę z kandydaturą Balcerowicza, gdyż mogło być istotnie tak, jak to wspomina Kuczyński, ale nie można też wykluczyć, iż w rzeczywistości mogło być z tym zupełnie inaczej. Przypomnijmy, że w latach 1980-ch (jeśli ktoś już tam wcześniej nie trafił), służby specjalne rekrutowały masowo wszystkich młodych ludzi, wyjeżdżających na stypendia i inne "ciekawe" prace na Zachodzie. Był to bowiem okres naboru do tzw. wywiadu totalnego⁴⁸. I trudno sobie wyobrazić, że Balcerowicz, który od 1972 r. bywał często na Zachodzie w różnych ośrodkach akademickich, mógł się przed tym ustrzec. A że po "stanie wojennym" wystąpił z PZPR, której członkiem był od 1969 r., było nawet na rękę służbom specjalnym.

Ale kto i jak zaproponował Balcerowiczowi podjęcie się dzieła "szokowego wyleczenia" polskiej gospodarki z zapaści i przekształcenia jej w kapitalistyczną?

Ze wspomnień Kuczyńskiego wynika, że Balcerowicz, z jego poręki, spotkał się 1 września 1989 r. z Mazowieckim dwukrotnie. Balcerowicz o tym fakcie wspomina jedynie zdawkowo. Píše, że Mazowiecki powiedział mu, iż poszukuje "swojego Ludwiga Erharda"⁴⁹ (ciekawe co wiedział on o reformie Erharda z czerwca 1948 r.) i że propozycję z wahaniem przyjął. Mazowieckiego dotąd nie znał, mimo że "prywatnie" spotkali się wcześniej (w 1989 r.).

Odnosi się wrażenie, chociaż prawdy nigdy nie będziemy znać, że albo spotkanie Mazowiecki-Balcerowicz było tylko czczą formalnością (o czym Kuczyński mógł nie wiedzieć), albo Mazowiecki nie miał nic konkretnego Balcerowiczowi do powiedzenia poza ogólnikiem z Erhardem. Jest też wysoce prawdopodobne, że Balcerowicz znał już wcześniej swoje pełnomocnictwa i słowa Mazowieckiego puszczał koło ucha.

Jakkolwiek z tym nie było, Mazowiecki, nie tak jak w sierpniu, 12 września 1989 r. z tribuny sejmowej, przy okazji przedstawiania do zatwierdzenia rządu koalicyjnego,